

BIBLIOTEKA LUDOWA  
POLSKA.

PAMIĘTNIK  
PIOTRA WYSOCKIEGO  
O POWSTANIU

29 LISTOPADA 1830 ROKU.

TOM I



J. FRANKEL

KSIĘCARNIA JARYZ  
LUXEMBURGSKA  
16 ULICA DE TOURNAY

W WILNIE

W KRAKOWIE

XXV 2249505

BIBLIOTEKA LUDOWA  
POLSKA.

# PAMIETNIK

PIOTRA WYSOCKIEGO

O POWSTANIU

29 LISTOPADA 1830 ROKU.

TOM I



J. FRANKEL.

PARYŻ  
KSIĘGARNIA LUXEMBURGSKA  
16 V. LICA DE TOURNON 16.

M. VIVIER DEL.

A. HERRINGTON

60. /



518140



1. Poświęcie 1830 31 r. listy 518140  
dow. - prawnik
  2. Świątyni polskiej - XIX w.
  3. Wykaz listy - Głównie  
ku 2178/130
- 12.1

## ZAMIAST PRZEDMOWY.

W wieku i wśród pokolenia, które samem powodzeniem lub niepowodzeniem ocenia historyczne wypadki, niełatwo jest dać poczuć całą wagę, konieczność nawet listopadowego powstania. Oburzało to moje młode sumienie, kiedym słyszał poważnych ludzi mówiących do mnie jako do jednego z tych, którzy w Nocy Belwederskiej brali pewien udział: « Okryjem was wieńcami, popiersia wasze i imiona rycę będziem w marmurze, jeżeli ta wojna pójdzie szczęśliwie, ale nie przestaniem was przeklinać na wieki, jeżeli to wszystko zle się obróci. » Składajmy Bogu dzięki, że naród nasz nie przyjął takiego ocenienia moralnej wartości ludzi, czynów i wypadków i póki się tak nie zniży, nie utraci nigdy prawa do swojego istnienia.

Nie mylmy się, nie w opiniach, które nazywamy absolutnemi lub liberalnemi, monarchicznemi lub republikańskimi, arystokratycznymi lub demokratycznymi leżą dwa główne polityczne prądy, które się dzisiaj z sobą ścierają na ziemi. Nie zaprzeczamy im wcale znaczenia i doniosłości, ale jeżeli nie sięgniemy wyżej w sferę duchową, głównego tych wszystkich kwestyj nie rozwiążem węzła. Czekają nas tu tylko najstraszniejsze pomieszanie języków. Widzieliśmy już cezaryzm dzwigający się powszechnem głosowaniem, arystokrację pruskiego posługującego się liberalizmem, rewolucjonistów mos-

kiewskich pastwiących się nad Polską, doczekać się możemy i cara Nihilisty, bo pozytywistami carowie pierwsi zostali w chrześcijańskim świecie.

Ludzie, stronnictwa i państwa nieraz najżarzciej z sobą walczące, a mające jedną posadę duchową, toż samo działanie moralne, muszą prędzej czy później stanąć obok siebie i dziwić się nie możemy, że tyle dzienników francuzkich broni dzisiaj polityki wewnętrznej znienawidzonego Bismarka. Ta siła tajemnicza tej pokrewności duchowej, mocniejsza od wszystkich naleciałych przekonań, wyrwała nam z łona naszego i wyrwa codziennych ludzi, którzy nie bez zasługi byli dla ojczyznej sprawy nim się rodzima ich okazała wartość, nim fałsz tajony a niezwalczany nigdy, nie dostawił ich nieledwie gwałtem do stanowiska odpowiedniego wewnętrznemu ich zepsuciu. Objawy te głębiej nas dzisiaj zastanowić powinny, i musimy sobie zdać sprawę, co jest prawdziwą tą skałą na której dom nasz zbudować należy, aby go nie zmiotły wichry i powodzie.

I najnikczemniejszy człowiek wołałby dobrej, niżli złej sprawie służyć i służy jej w istocie, jeżeli poczuł albo wmówił w siebie, że jego pycha, ambicja, próżność, chciwość lub dogodzenie innym namiętnościom i słabościom, na jej się drodze znajdują, ale próby nie wytrzyma żadnej, jeżeli te niższe strony jego natury w rachubach swoich zawiedzione zostaną.

Co większa, człowiek nieraz najpoczeiwszy wedle praw ziemi, czynny, rozsądny, biegły w prowadzeniu interesów, polityk i dyplomata nie będzie w stanie podnieść się do wyższych poczuć i poglądów, które istnieją w instynkcie, jeżeli już nie w głębiej wierzemas całego narodu i na szczęście żadnym nieraz rozumowaniem pogwałcić się nie dadzą. Ina-

czej żleby było; narody szybko byłyby wypłodnione ze wszystkich sił organicznych, jako odrębnie w sobie istniejące całości, zostałyby bez moralnej i rozwojowej przyszłości, bo podobne umysły zakreślałyby im zawsze tylko bliskie i poziome cele.

Czémby się była stała Francya, gdyby niedawno temu, tak rozsądnych usłuchała ludzi: i zaraz po Sedanie o pokój prosiła Prusaków, gdyby Paryż powiedział był sobie od razu, że poddać się będzie musiał prędzej czy później; poco napróżno dać sobie bombami dziurawić dachy i cierpieć głód? Gdyby Francya nowej była nie zaimprovizowała armii i dalszych do obrony nie czyniła wysileń, byłoby to z jej strony nieobrachowanym w następstwach upadkiem moralnym i gatunkiem nawet ałdykacyi.

Zręczność tylko w wyzyskaniu materyalnych korzyści bez względu na obowiązek i ztąd idące ocenianie podobieństwem powodzenia lub niepowodzenia moralnej strony wypadków, było zawsze znakiem wyczerpywania się żywotnych sił społeczeństwa każdego, a szczególnie kładło pieczęć na grobie narodu, będącego w położeniu w jakim dziś jest Polska.

W samej kolebce naszej wiekowej walki o niepodległość, w konfederacyi Barskiej, uderza nas już ten wysoki charakter chrześcijański, że szlachcie dobywał szabli w obronie wiary i ojczyzny z poczucia obowiązku, aby go Bóg nieskarzał za obojętność względem kościoła i rzeczypospolitej i że kapłani, wznoszący się nieraz do proroczego ducha, nie zapewniali walczącym nigdy szczęśliwego końca: Nie do ciebie należy, mówili, co Bóg w wyrokach swoich zakreślił; bij się, cierp i giń lub idź na wygnanie, ale bądź pewny, że zasługi i ofiary twoje bezowocne nie będą ani dla ciebie, ani dla Ojczyzny, a kiedy i jak, nie twoja to już rzecz.

Ton ten jedyny w swoim duchu jaki wydany został w XVIII wieku, wyśmiany i wyszydzony przez wszystkich filozofów i polityków ówczesnych, nie przestał i nie przestanie być nigdy drogim narodowej pamięci. I czem byśmy byli dzisiaj, gdyby najstraszniejszy gwałt i obelga jakie spotkały wolne i żywe polityczne ciało, przez porwanie biskupów i senatorów przeciwnych woli króla pruskiego i carycy, przeszły były ze strony Polski bez żadnej protestacyi, walki i ofiary? Nieszczęśliwą tą czteroletnią wojną nie honor tylko, jak mówiono dawniej, ale sumienie i poczucie siebie naszego narodu ocalone zostało.

Czem byśmy byli bez skrwawionego Kościuszki pod Maciejowicami, najnieszczęśliwszego może a najbardziej wielbionego z wodzów naszych, który i wrogów samych zmuszał do czci dla siebie? Czem byśmy byli bez tej młodzieży uchodzącej z kraju po rozbiórce Polski pod sztandary Dąbrowskiego lub Kniaziewicza? Czem byśmy byli gdyby nowa Targowica zdołała była nasze wojsko skłonić przed bitwą Lipską lub po niej do wejścia z Moskalami w umowę, zamiast doprowadzić pod mury Paryża opuszczonych od szczęścia bratnich francuzkich zastępów? Czémże byśmy w końcu byli dzisiaj, gdyby nie listopadowe powstanie? czemuż może nawet była Europa?

Jest pewna że tak powiemy *integritas* Polski, której przedewszystkiem strzedz i którą dochować musimy. Używamy umyślnie tego łacińskiego wyrazu, bo oznacza zarazem i całość i czystość i poczeiwość i nie moglibyśmy go inaczej przetłumaczyć jak przez *duşę* Polski, którą zbawić mamy od zatracenia, utrzymując ją mimo ciężkich pokus i przeciwności, żywą i nieskalaną, broniąc jej czystości przeciw przyjacielom i nieprzyjaciółom.

Czemże jest ta materyalna całość naszego kraju z której nie mamy prawa i najmniejszego uczynić ustępstwa, jak dobrze czuła nasza dawna rzeczpospolita, w porównaniu z tą naszą duchową i moralną całością, której przeniebierzenie się mogłoby nas w zupełnie inny zamienić naród, a prędzej jeszcze większe ściągnąć boleści i cierpienia? Byłoby to nie tylko zdradą naszej Ojczyzny, która przedewszystkiem w duchu ma swoje znaczenie, ale i całej ludzkości, której nie tylko jesteśmy częścią ale i duchową funkcją odrębną, z której od nas pewny osobny wyrób jej się należy, aby i ona w swym chodzie przez nas opóźnioną nie była.

Ślad w ślad za czystymi objawami, wyciskaniem z nas wielkimi nieszczęściami, szła zawsze polityka ukojenia, gasząca zapal, pragnąca fałszywego pokoju i gotowa do wszelkich układów i ustępstw byle go pozyskać, a nie badająca nigdy czem i jak możemy żyć w przyszłości. Wierzyła ona w łaskawość wrogich nam państw, obrachowywała ich dobrze zrozumiany interes i konieczny ich postęp. Wierzyła we wszystko, byle tylko nie wierzyć w prawdziwą siłę chrześcijańską, w przeznaczenie i obowiązki naszego narodu, byle tylko nie wierzyć w Boga, w moc poświęcenia i wstrętnej jej ofiary.

W żadnym narodzie egoistyczno-polityczne stronnictwo nie naznaczyło sobie tak hanbiącego a malującego je tak dokładnie nazwiska, jak u nas: *Targowica*. Polska je przyjęła, zamknąwszy w tym jednym wyrazie wszelkiego gatunku zdrady i idącej z różnych źródeł małoduszności. *Targowica* oznacza u nas opuszczenie narodowego sztandaru z pychy, z chciwości, z miłości wygody i roskoszy, z głupoty, z krótkowidzenia, z zarożumiałości, z lenistwa i z tchórzostwa i z lekkomyślności. Tam się człowiek

targuje najpierw z poczuciem obowiązku i ze swoim własnym sumieniem, potem z dyablem a w końcu z Niemcem lub Moskałem.

Niech i miłość ku temu co tylko było czystem w przeszłości naszej nie będzie niewolniczą; niech nam tylko za punkt wyjścia służy, za pierwszy tylko nastrój naszym duszom, za prawdziwy węzeł z tą przeszłością, bo ani jej siły moralne, ani jej pojęcia i wyobrażenia dziś nam nie wystarczą. Z trudnościami naszymi i czasem ubieglym powiększyły się potrzeby wyższego i jaśniejszego widzenia, większego wysilenia dla każdej wiernej Polsce i wierzącej duszy.

W miłości tylko ojczyzny szczerzej z sobą, prawdziwej, może każdy odczuć co na jego sumieniu leży i kiedy ma spełnić, aby się nie stał samozwańcem, jak to trafia nie wyrzekł Goszczyński, o tych co nie powołani i w nienależnym czasie narażają zuchwale i siebie samych na ciężką przed Bogiem odpowiedzialność i naród swój na nienaznaczone mu cierpienia i klęski.

Przed rozpoczęciem spisywania krótkich osobistych wspomnień naszych, musieliśmy po czterdziestu dwóch latach, położyć te kilka słów ogólnych niestety! aby dać słabe świadectwo, żeśmy pozostali wierni sztandarowi naszemu i żeśmy nie stracili prawa odezwać się do prawdziwych współziomków naszych.

---

Jestem jak szeregowiec, który w walnej i stanowczej bitwie brał udział, ale który do narad wodzów nie należał wcale i nie był zdolny okiem objąć całej linii bojowej; wie on tylko dobrze, co się działo na stanowisku, na którym postawiony został. Z bulety-

nów dopiero dowiedział się później o planie i całości działań wojskowych, a wrażenia jakie otrzymał, spostrzeżenia jakie mógł poczynić, w późniejszych dopiero latach do prawdziwego mogły dojść ocenienia, do dojrzałego sądu. Jest to najprostsze tłumaczenie opóźnienia i wahania się w spisaniu wspomnień moich, mimo nalegania licznych przyjaciół i znajomych; czułem zresztą że głos się należał pierwiej tym, co w tych wydarzeniach czynniejszy odemnie mieli udział.

Dopiero po rewolucyi lipcowej w Paryżu, przystąpiłem, nie powiem do związku, lecz do stosunków bliższych z młodzieżą i kilku ludźmi starszymi, którzy kochali Polskę i gotowi byli za nią się poświęcić, i stało się to najnaturalniej, bez żadnego teatralnego aparatu spisków, bez składanej przysięgi, która naówczas już wydawała mi się czemeś dzikiem i ubliżającem godności człowieka, a dającym wszystkim konspiracyom pewien fałszywy i niebezpieczny nastrój. Nieskończonych jeszcze moich lat dziewiętnaście, mundurek niebieski z białemi obwódkami, postawa nieokazała i słabowita, ułożenie ciche a często i nieśmiałe, nie obiecywały ani nadzwyczajnej energii, ani wpływu na innych, co przedewszystkiem naówczas pozyskać się starano. Uważałem rokiem już pierwój, że wojskowi z którymi się zaprzyjaźniłem, jak porucznicy: Aleksander Łaski i Baczyński, podoficerowie: Poniński i Banezakiewicz z gwardyi grenadyerów, bez otwierania się jeszcze zupełnego badali mię i chcieli zachować i przedłużyć ściśle ze mną stosunki. Zapewnieni o moich uczuciach patriotycznych i o mojej gotowości do czynu, od ogólnych pojęć, przechodzili pomału w rozmowach do coraz bliższego określenia swoich zamiarów; znalazłem się zatem zwolna wtajemniczony do wszyst-

kiego, bez podobieństwa powiedzenia dzisiaj, jak się to stało. Baczyński szczególnie mi okazywał zaufanie i w swoim czasie używany zostałem do komunikacji ustnych pomiędzy pewną częścią cywilną i wojskową związkowych, gdzie zetknięcie się osobiste stron obu mogło zwrócić na siebie oko czujnej policyi. Z nich Aleksander Łaski jeden z głównych organizatorów wojskowego związku, należał do ukształceńszych oficerów armii naszej, ujmującej był postaci, wyrażał się szczęśliwie i z wielkim zapalem; oznajomiony nadto z tem wszystkiem, co się działo naówczas we Francyi, nieraz przepędzał noce nad tłumaczeniem dzieł lub artykułów z gazet francuzkich, i stosunki z nim dla tego były mocno pożądane i niemalej dla mnie korzyści. Rozdzieliła nas kampania, która nie odpowiadała ani jego oczekiwaniu ani moim nadziejom; spotykaliśmy się w początkach tułactwa, ale rzutki i niecierpliwy jego charakter nie mógł go długo na tem stanowisku zatrzymać; udał się na wschód do służby tureckiej, i większą część życia swego przepędził w Bośni i Hercegowinie, z kąd wrócił do Francyi aby umrzeć zupełnie prawie nieznany i zapomniany. Bonczakiewicza wkrótce na zawsze utraciłem z oczu; z Ponińskim zaś spotkałem się po raz ostatni i w kilka miesięcy potem w akeyi pod Belwederem, i nie widzieliśmy się więcej, mimo tego że mieszkał i umarł w Paryżu. Z nich wszystkich największą cześć zachowałem dla Baczyńskiego, który z ran odniesionych w naszej wojnie, zakończył życie w szpitalu. Był to charakter prawdziwie z jednego kruszcza odlany, niepospolitej czystości i hartu, ovladnięt jedynem uczuciem dla Polski i w niem mocno skupiony; bez najmniejszego przystępu dla miłości własnej, dla ambicyi osobistej, próżności lub zawiści.

Bez wysokiego wykształcenia, nie był on delegatém żadnego wojskowego kółka, ale dusza jego nie spoczywała nigdy; w słowach jego pełnych prostoty i pokoju czuć było można, że za niemi niechybna leży determinacya i niczem nieugięta wola, że ofiara jego wewnętrzna była dawno dokonana i oczekiwała tylko na zewnętrzne hasło od tych, którym wydanie jego powierzył. Charaktery podobne są nieocenione w tak wielkich przedsięwzięciach; co było w nim, to i wiało z niego: w chwilach obawy, zwątpienia lub wahania się, półgodziny z nim przepędzone, otrzeźwiała umysł i przyprowadzało go do równowagi bez żadnych z jego strony zapewnian i uspakajań. Śmierć jego była dla mnie smutnem przeczuciem dla publicznej sprawy.

Drugiem dla mnie podobnem ogniskiem było kilku również starszych odemnie literatów, z którymi częstsze bywały moje zetknięcia się i daleko łatwiejsze aniżeli z wojskowymi, bo mniej obudzały podejrzeń; do takich należeli szczególnie Józef Ostrowski i Żukowski Ludwik. Pierwszy za nadto był głośnym w czasach powstania i na tułactwie, abyśmy o nim cośkolwiek powiedzieć nie mieli. Był to umysł najrozleglejszego objęcia, bystry i przenikliwy, pracowity i cierpliwy, niepospolitej wiedzy, niemalej nauki, ale bez żadnej *inicytywy*: potrafił on winnych wmówić, ale nigdy w siebie, że był głęboko myślącym człowiekiem, dla tego, że rozumiał wszystko, że chwytal cudze pojęcia, streszczał je wybornie i oryginalną potrafił im nadać formę, ale za wiele miał światła, aby nie czuł swojej niemocy i nie bolał nad nią; z drugiej strony, za nadto był dumnym aby użytecznym i prostym stał się wulgaryzatorem; prawda że i nie tego po nim spodziewali się ludzie. Za to mistrz niezrównany gdzie o ujemną chodziło stronę, krytyk bez miłosierdzia, czemu

żółciowa dopomagała organizacya, uderzająca przede wszystkim za pierwszym spójrzeniem na tę postać. Co najbardziej go upokarzało i bolało, był to zupełny brak odwagi, chociaż za to z piórem w rękę, w swoim pokoju, do niepospolitego dochodził zuchwalstwa. Wymowa jego była więcej wslizgająca się, niżeli wzniecająca zapal; miał jednakże ludzi, którzy szczerze przywiązywali się do niego i umiał ich kochać mimo tego, że nieraz mówiono żartem, że ma gotowy w zanadrzu na nich artykuł. Było coś kobiecego w tej naturze, roztopiało jego duszę nieraz jedno słowo serdeczne, wtedy nie taił wad swoich i ułomności, ale na nieszczęście nigdy w tem uczuciu długo wytrwać nie mógł i w godzinę potem unikał tych, którym się tak szczerze przed chwilą wylewał. Nie można powiedzieć aby udział jego w związku był bezpożytecznym; braku miłości Polski nikt mu zarzucić nie mógł; chociaż niecharakterność jego wszystkich mocno drażniła, mało ludzi podobnego doznawało pobbłażania. Ale wszystko to trwać może tylko do czasu. Rozmowy moje z nim o historyi, o literaturze, o filozofii, o polityce, były dla mnie nowe, rozległe i nie bez wielkiego pożytku; dziwiło mię tylko że zawsze kończyły się tem, jak się mam tłumaczyć kiedy będę aresztowany i do jakich artykułów prawa i konstytucyi trzeba mi się zawsze odwoływać? Słuchałem tego z roztargnieniem, bo wiedziałem dobrze jak mało w oczach Wielkiego Księcia i jego komissyi śledczej znaczyły prawo i konstytucya. Ludwik Żukowski, natura szlachetna ale namiętna i popędliwa, daleko jednakże trzeźwiej i praktyczniej wszystko widział i oceniał; chociaż zajękliwy w mówieniu, umiał serca zapalać do czynu i słuchany był przez młodsze pokolenie z uszanowaniem. Od niego byłem uwiadamiany o wszyst-

kiem co się działo, bez jego wiedzy i rady nie czyniłem kroku, powierzając się w pełnem zaufaniu jego kierunkowi. Przed samą straszliwą nocą piętnastego Sierpnia zakończył życie na cholerę; stratę jego głęboko poczułem i pamięć jego na zawsze zachowałem w sercu. Za pośrednictwem Ostrowskiego i Żukowskiego wiele poznałem osób należących do związku; w domu pierwszego spotkałem Goszczyńskiego Seweryna, z którym bliższą dopiero znajomość zrobiłem po nocy Belwederskiej.

Trzecim punktem, mniej może ważnym pod względem przygotowań do powstania, ale gdzie się stykałem z ludźmi, którzy nie byli na mnie bez pewnego wpływu, była u księży Pijarów cela księdza Kazimierza Puławskiego. Tam po raz pierwszy widziałem Maurycego Mochnackiego, niebędącego wcale codziennym i zwyczajnym jego gościem. Ksiądz Puławski był człowiekiem więcej dobrotliwym jak dobrym, ociążałym i leniwym z temperamentu, słynącym jako zawołany kaznodzieja i w istocie śmieiej jak kto inny odważył się mówić na ambonie o Polsce, co niemałą było naówczas między naszym duchowieństwem zasługą. Kierował on jak mu się podobało, całym konwentem będącym naówczas pod rektorstwem zacnego księdza Radeckiego i za wznowienie i obchodzenie uroczystej pamiątki bitwy pod Chocimem dnia 10 Października, umieszczonej w brewiarzu rzymskim, jako święto kościelne, wywieziony został z rozkazu Wielkiego Księcia do Radomia po patryotycznem kazaniu, co u Warszawskiego ludu niemało jego wziętość podniosło. Ksiądz Puławski jako mowca był niepospolitym dyalektykiem, wielkiej jasności i dobitności, oznajmiony dokładnie ze wszystkimi zwrotami retorycznej sztuki, z której zręcznie umiał korzystać; lecz

zostawiał pewny chłód po sobie, szczegó niej nie by nigdy w stanie zaspokoić prawdziwych religijnych uczuć; jego dar wynowy stosowniejszym był na klubie patryotycznym, którego był jednym z wiceprezesów, niżli na ambonie. Oskarżenie księdza Puławskiego również jak Ostrowskiego, że byli sprawcami nocy piętnastego Sierpnia jest tak wkorzenione w opinii publicznej, że może się i w historyi utrzyma, a przecież tak nie jest, lecz nie tu pora zbijać te zarzuty. Nigdy, ani w kraju ani na tułatawie, nie słyszałem słowa jednego przeciw religii z ust Puławskiego, chociaż z czasem widocznie zaniechał obowiązków kapłańskich; lecz musiało być coś w tej duszy wyższego, kiedy wypędzony z Paryża do Anglii, tak strasznego doświadczał trapienia, że obdarty i przepasany powrozem, włóczył się jako pokutnik po Londynie z ewangelią w ręku i zamknięty w domu obłąkanych zakończył swe życie.

Rola moja jako propagatora, jako pośrednika w niewielkiem zamykała się kółku; ograniczyłem się na moich przyjaciółach i współkolegach niegdyś z liceum warszawskiego, których zaufania zdobywać nie potrzebowałem; byli nimi: Aleksander i Zenon Świętosławscy, Artur Zawisza, Krosnowski Walenty, Edward Trzeciński, Antoni Kosiński i kilkunastu innych, których nie wymieniam, dla tego że w kraju pozostali i może do dziś dnia żyją. Nie czułem potrzeby stykania się już z tymi, o których wiedziałem że należeli do związku, aby bez potrzeby nie mnożyć niebezpieczeństw, nadto, miałem najwyższą odrazę od akademickiego burszostwa, którem nas zaraziły uniwersytety niemieckie, od forfanterii wszelkiego rodzaju, od bezużytecznego drażnienia wrogów, od narażania się dla żartu, dla uczynienia sobie dziecinnej satysfakcyi, które tak niezdolnym człowieka

czyni do narażenia się z rozmysłem i ofiarą, gdzie tego prawdziwy wymaga interes.

W epoce tej wyobrażenia były mocno zmaćcone; w masach było wprowadzie głębokie uczucie upokorzenia narodu i niejasne pojęcie, że stan rzeczy co raz bardziej się pogorsza, iż nas doprowadzić musi do zupełnego ubezwładnienia a później do zagłady i że go przerwać należy, choćby najgwałtowniejszymi sposobami, choćby najcięższymi ofiarami, i to pojęcie istniało we wszystkich związkach i wszystkich konspiracyach. Porwać się do broni i powstać było najglówniejszem i jedynem zadaniem, lecz co potem będzie i jak? nic nie było urzeczywistnionego nawet w pojęciach i nic praktycznego w niczym nie powstało mozgu. Zdawało się, że w sprzysiężeniach i rozmów podobnych starano się unikać, trzymano się tylko celu najbliższego, który się i najglówniejszym wydawał, bo każde wyjście po za tę granicę, nieochybnem groziło rozdwojeniem i rozprzeżeniem.

Bylibyśmy bardzo niesprawiedliwi, gdybyśmy tę epokę sądzić chcieli dzisiejszem naszym światłem, którego nabycie nas tyle łez i krwi kosztowało. Niezapomnijmy o tem, że upadliśmy wśród nieplodnych i niedołącznych reform, z uznaniem win naszych, że wystugiwaliliśmy się u obcych, że musieliśmy złożyć dobrowolnie losy nasze w absolutne ręce zwycięzcy Europy, żeśmy się kołysali czas długi zawiedzionemi, w końcu nadziejami, żeśmy się ludzi dali obietnicom Aleksandra, że naówczas o narodowościach nikt jeszcze nie gadał, prócz nas, i wiedeńskiego kongresu; co do nas zasadzaliśmy ją więcej na języku i zewnętrznych oznakach, niżeli na głębszem i prawdziwszem jej znaczeniu, a co do kongresu, ten je wspominał tylko z uszanowaniem, aby je bardziej pokrzywdzić. Nikt wtedy nie nadu-

żywał jak dzisiaj świętych wyrazów: dziejowe myśli, przeznaczenia, posłannictwa i arkanów narodowych; ustrój państwowy na pojęciach kosmopolitycznych był wszystkim o czem myślano i mówiono. Za konstytucyą walczone we Włoszech i Hiszpanii, a najwyższym punktem egzaltacyi dla całej Europy było to co się naówczas działo w izbie deputowanych francuzkich. Potrzeba nam było czynu, ruchu, zostawienia nas samym sobie, walki i ciężkiego doświadczenia, aby pojęcia nasze się rozszerzyły, sprostały, abyśmy sami zobaczyli jasno o co nam idzie. Pod tym względem powstanie listopadowe było zbawiennym dla nas wypadkiem, który, choć bez miary pogorszył nasze zewnętrzne położenie, podniósł nas duchem, poczuciem i wyobrażeniami, ale zarazem większą na nas włożył odpowiedzialność.

Na dowód, jak niejasne było ówczesne pojmowanie rzeczy, przytoczymy najgłówniejszy ustęp z treściwego programu wojskowego związku pod naczelnictwem Piotra Wysockiego ułożonego w szkole podchorążych: « przysiegamy: połączyć wszystkie usiłowania, poświęcić życie, gdy tego będzie potrzeba w obronie zgwałconej ustawy konstytucyjnej. » Nie wątpię, że pojęcia tej dzielnej młodzieży znacznie dalej sięgały, lecz czyli to była ostrożność obrachowana z ich strony, czy bojaźń zastraszenia ciśniejszych umysłów, było to zawsze złym znakiem. Ten tak położony cel, dla wielu ludzi już dopełnionym być musiał, kiedy to zgwałcenie uznał sam Lubecki zasiadający w rządzie tymczasowym po nocy 29 listopada. Nie dziwnego, że po dokonaniem powstania okazała się taka chwiejność i zamęt w celach, z którego zła wiara, przebiegłość i różnego rodzaju obawy zręcznie korzystać umiały. Pomiedzy związkowymi cywilnymi wielu widziało może jaśniej rzeczy, ale

obiecowało sobie że przy powszechnem rozbudzeniu narodu wśród akcyi łatwiej przyjdzie do głębszego poczucia rzeczywistych potrzeb i zadań tej rewolucyi; nikt jednak z nich nie przewidywał, że będzie miał do czynienia z mądrze ukartowaną intrygą, która zręcznością swoją potrafi wciągnąć w zastawione sidła ludzi nawet głośnych ze swojego patryotyzmu, zasłużonych, nieskalanych nieczem, mających najwyższą wziętość w opinii publicznej i że ich właśnie potrafi użyć za najdzielniejsze narzędzie do zmarnowania najdroższego i nieczem niepowetowanego czasu, do ochłodzenia zapału i osłabienia wiary, do zamącenia wyobrażeń, i do sparaliżowania środków.

Jednym z ludzi najbystrzej przywidujących mające nastąpić trudności po wybuchu powstania był niezawodnie Maurycy Mochnacki; zformułował on to w oświadczonym pragnieniu, aby przed porwaniem się do broni był gotowy rząd, mający dalszemi wysileniami kierować, aby losy powstania nie dostały się w ręce niedołężne albo ludzi, którzyby je we własnych widokach chcieli wyzyskać. Mochnacki nie tał się w tym względzie z własną swoją ambicyą, rozwijając teorię, że ambicya taka jest konieczną, że bez niej wcale obejść się nie można i tem zraził większą część związkowych, którzy przedewszystkiem chcieli dać dowód zupełnej bezinteresowności swojej. Umysł lotny, przenikliwy a nawet i przebiegły, Mochnacki prócz tego był człowiekiem niepospolitego wykształcenia, pisarz pierwszorzędny ale na nieszczęście był za nadto wrażliwym, chwilowym i górującym i dlatego budził zawsze swojemi zdolnościami, nauką i bystrością, więcej podziwu aniżeli sympatyi. Najwięcej zaś tem chybił, że zamiast przeprowadzić myśl swoją w samym węzle stowarzyszenia, zaczął między młodzieżą tworzyć szkołę swoich pojęć i cokolwiek

ją roztrząsać, tak że na kilka dni przed powstaniem wielu się zawahało. « Nie robi się powstania mówił on, dla tego aby ocalić kilku ludzi, którzy się przedwcześnie posunęli za daleko; lepiej jest poświęcić kilku aniżeli samą narodową sprawę. » Niestety chcieli, że te uwagi Mochnackiego uderzały najwięcej oddział przezemnie zebrany i nie małego nabawiły mię kłopotu, jakto niżej powiemy.

Że żaden rząd, choćby z najświetniejszego wyszedł czynu, złożony z ludzi nieznanych nie znalazłby żadnego u nas w kraju poparcia, to dla mnie najmniejszej nie podpadało wątpliwości. We Francyi stronnictwa uważają i biorą za narzędzia ludzi z imieniem i nie ma tam tej cześci dla osobistości wydatnych, jaka była u nas w tym czasie; tam człowiek bywa sztandarem tylko, u nas przeciwnie; zasługi jakie mu wyrobiły imię, nie są tylko owocem genialnych pomysłów lub teoryi, ale połączone zawsze były z wielkimi niebezpieczeństwami, cierpieniem i ofiarami i ta cześć u nas dla zasłużonych mężów nosi na sobie zupełnie osobne cechy, których w żadnym innym niema narodzie. Cokolwiek się stało, naród ich nigdy nie pomijał, zawsze się dopytywał: co o tem lub o owem myśli Niemcewicz, Czartoryski albo Chłopicki? Ztąd u nas we wszystkich konspiracyach kłamano zawsze, że po za widzialnemi głowami przysiężeń, były wysokie figury znane i szanowane powszechnie, których nazwiska pod najwyższym tylko udzielano sekretem. Takie nazwiska miał zawsze na swoje usługi Zaliwski, i ja sam byłem przekonany najmocniej, według jego zaręczeń, że o związku naszym był najdokładniej zawiadomiony książę Czartoryski, Chłopicki, Niemcewicz i generał Stanisław Potocki; Zaliwski umiał o swojej rozmowie z nimi najdrobniejsze opowiadać szczegóły, i był

skazany na opowiadanie ich na tulaćwie i po ciężkiem nawet tyloletniem więzieniu, aż do samej śmierci.

Czem były te nazwiska, doznał tego sam Mochnacki najlepiej, z niebezpieczeństwem życia swojego, ze strony gwardyi honorowej, kiedy z taką bystrością przeniknął i odsłaniał działania rządu tymczasowego a później dyktatury, i nie wiem co by się z nim stało, gdyby nie znalazł był schronienia u Lubeckiego, przeciw któremu głównie zmierzone były jego ataki.

Wszystkie opóźnienia i zwłoki co do dnia powstania boleśnie na mnie działały; wiedziałem o nich najdokładniej od Żukowskiego i Baczyńskiego, od którego miałem proch i potrzebny ołów dla odlania kul do mniejszego kalibru broni, w którąśmy się zaopatrywali pomału, gotując się na dzień 18 października, kiedy od Baczyńskiego zawiadomiony zostałem, że wybuch odroczone. Przed przyjaciółmi moimi nie małego doznawałem upokorzenia i czułem widocznie jak zaufanie w ich sercu upadać ku mnie zaczęło; przytaczać nazwisk tych z którymi byłem w stosunkach, bez ich pozwolenia i wiedzy nie było mi wolno; przybrałem sobie za towarzysza i świadka moich działań Zenona Świętosławskiego i tego zapoznałem z Baczyńskim i Żukowskim, bo zamykający się co raz bardziej w swym domu Ostrowski, i słyszeć nie chciał o żadnej nowej znajomości. Po aresztowaniu uczniów uniwersytetu, duch jego był całkiem zwrócony ku temu o czem mówiono ne śledztwie komissyi i czy już przez kogoś, jego nazwisko wymówionem nie zostało; miał nawet jakąś drogę, którą go ztamtąd różne dochodziły posłuchy, ale go nigdy o to bliżej nie badałem. Zaraz na drugi dzień po wypuszczeniu z więzienia Urbańskiego, posłał mię do koszar gwardyi granadyerów, abym się

dowiedział o co był zapytywany. Urbańskiego nigdy nie widziałem przed tem na oczy, musiałem udać się do innych znajomych tego pułku, abym był wprowadzony do niego. Widzenie się nasze było krótkie; w najogólniejszych słowach opowiedział mi rzecz całą i kiedym już wychodził, żądał osobistego zectknięcia się z Ostrowskim w handlu winnym Wasilewskiego na ulicy Freta, gdzie zszedłszy się, mieliśmy udawać że się przy dziennikach zapoznajemy dopiero. Na dwa podobne uroczyste zobowiązania się ze swej strony nie odpowiedział wcale Ostrowski. Urbańskiego słowa wyrzeczone do mnie z tej przyczyny chłodne i grzeczne, kiedym się tłumaczył jak mógł z tego dwukrotnego zawodu, były pełne ironii. Prosił mię abym się uspokoił, bo on się niczego nie lęka, zwłaszcza żeśmy nie mieli świadków, a to cośmy z sobą mówili, komissyi śledczej nie wielki przyniosłoby użytek. Oburzenie moje było nie do opisania i nie szczędziłem należnych potem wyrzutów Ostrowskiemu, który tarł rękę o rękę, jakby je umywał, tłumacząc się, że obowiązany jest do wielkiej ostrożności, bo u Karmelitów już nazwisko jego było wspomniane; szczęściem że podejrzenia zwróciły się nie ku niemu, ale ku Władysławowi Ostrowskiemu marszałkowi sejmu. Zobaczyłem wtedy, że brak odwagi był w nim chorobą chroniczną i niewyleczoną i spotkania się nasze zaczęły być znacznie rzadsze, chociaż nie straciłem sympatyi dla tego umysłu tak rozległego, dla zdolności tak świetnych, zwłaszcza że to kalectwo przypisywać musiałem tylko organizacyi jego, a trudno gniewać się na ciało ludzkie, które nie miało siły stanąć w równowadze z duchem, z pojęciami i przekonaniami.

Pierwej nieco, związek cywilny otrzymał cokolwiek ruch silniejszy i samoistniejszy w sobie, i z wię-

kszą sprężystością postępować zaczął. Naturalną bowiem było rzeczą, że ponieważ pierwszy związek był czysto wojskowy, organizacja cywilna bardzo podrzędną musiała grać rolę. Oczekiwała ona od wojskowych wszelkiej inicjatywy i poddawała się zupełnie ich kierunkowi; składała się prócz tego zupełnie z nowych ludzi, bo nie należeli do niej ani uwolnieni przez sąd sejmowy dawni członkowie towarzystwa, patriotycznego, ani też hrabiowie Tytus Działyński, Gustaw Małachowski i Adam Gurowski, którzy związku szkoły podchorążych chcieli użyć do wymordowania rodziny carskiej podczas koronacyi Mikołaja na króla polskiego w Warszawie, czemu bardzo słusznie oparli się członkowie ówczesnej izby poselskiej, którzy niebezpieczną doniosłość tego krwawego wypadku w kraju i w całej Europie daleko trzeźwiej ocenili. Z nowych związkowych, Ludwik Nabelak nie dawno sprowadzony z Galicyi do redakcyi *Dziennika powszechnego*, okazał się najniecierpliwszym na zwłoki ustawne i wahania się tych, co całym kierowali związkiem i bardzo żywo zapytał Piotra Wysockiego, z kąd pochodzą te odraczania chwili powstania, wystawiające wszystkich na tak wyraźne niebezpieczeństwo? Na to Wysocki oświadczył, że wielu z jego towarzyszy trapiących jest obawą, aby powstanie to nie miało wyłącznego charakteru jakiejś rewolucyi wojskowej, że słuszną jest rzeczą aby wojsko poparło całemi siłami ruch raz obudzony, że im go rozpoczynać wcale nie wypada. Wtedy Nabelak oświadczył, że jeżeli o to chodzi, on i przyjaciele jego dadzą początek powstaniu uderzając na Belweder; wówczas Wysocki, rzucił mu się na szyję z największem rozrzewnieniem i rzecz stanowczo była zdecydowaną. Nabelak tylko żądał, aby oddziałowi cywilnych których on przyprowadzi, nieznających wcale miej-

scowości, dodany był jeden z podchorążych nie na dowódcę lecz na przewodnika, na co Wysocki się zgodził najchętniej.

Od tej chwili rozpoczęły się ściślejsze między cywilnymi stosunki i daleko większy porządek; dostałem wtedy polecenie stykania się z magistrem prawa Józefem Mejsnerem, człowiekiem wielkiego taktu, poświęcenia, skromności i odwagi, któremu szczególnie został powierzony uniwersytet. Stanowisko to było bardzo niebezpieczne, z przyczyny rozburzenia młodych umysłów, lekkości a nawet i brawady; jakoż Mejsner wkrótce aresztowany i osadzony został u Marcinkanek, a ten co pierwszy jego nazwisko wymówił przed komisyją śledczą, tłumaczył mu się kiedy ich obydwóch powstanie uwolniło, w tych słowach: « Wiedziałem że masz więcej rozumu odemnie i znajomości prawa jako magister; nudzono mnie pytaniami, na które nie wiedziałem jak i co odpowiadać i sądziłem, że mi dadzą pokój jak cię wskażę, jako człowieka, który jeżeli co jest, musi lepiej wiedzieć odemnie, ale nieoskarżałem cię o nic. »

Zaraz po aresztowaniu Mejsnera zawiadomił mnie Żukowski, że dalsze polecenia i kierunek mam odbierać od Nabelaka i udałem się nazajutrz bardzo rano dla poznania się z nim do redakcyi *Dziennika powszechnego*, gdzie byłem oczekiwany i zawiązał się odtąd między nami stosunek, który w ścisłą potem przeszedł przyjaźń i zażyłość do dziś dnia trwającą.

Zauważałem, że aresztowania młodzieży nie były naówczas pochoptne, że skompromitowanego w śledztwie zostawiano dni kilka w pokoju i na wolnej stopie, obserwując ściśle w jakim obraca się kole, z kim żyje i z kim się widuje, aby więcej zebrać do-

wodów lub dać poznać przy indagacyi, że stosunki jego wszelkie były dobrze policyi znajome; spostrzegłem że i moje widywanie się z Mejsnerem nie uszło uwagi, bo w kilka dni potem na przeciw moich okien w sieni oficyny pałacu Potockich, gdzie naówczas mieszkalem, zauważałem niemłodego już żyda, dosyć opastego i donyśliłem się zaraz że musiał mi być dodany za stróża, co się wkrótce sprawdziło, kiedym go, oglądając się na ulicy, zobaczył po za sobą w pewnem oddaleniu. Puszczałem się wtedy szybkim krokiem raz ku Łazienkom, drugi raz ku zdrojom lub aż do wolskich rogatek, bez najmniejszego widzenia się z kimkolwiek, i zwracając się nagle z tego spaceru, spotykałem biednego żyda, spoconego mimo mrozu i mocno zzjajanego. Nie wiem jaki był jego raport, ale to pewna, że po kilkudniowem tak gwałtownem przekłusowaniu go, zdawało mi się że był wypuszczony z opieki, lub strzeżony zręczniej.

Widocznem było zresztą, że energia policyi sparaliżowaną czemeś została. Było to przede wszystkim rezultatem sejmowego sądu, który jej pokazał, że wszechwładztwo Wielkiego Księcia nie było bez granic, że mimo jego zasłony można było stanąć jeszcze pod jego rządami przed opinią publiczną; każdy z tych urzędników oddanych mu bez granic poczuł, że z Petersburga, który chwilowo innym mógł wpływowi ulegać, mogło niezawsze to samo zawaiać powietrze co z Belwederu. Wyrażna ucieczka z Warszawy takich ludzi jak Nowosilcowa i Szaniawskiego z zapowiedzeniem, że się przed nieochybną usuwają rewolucyą, nie była bez wpływu. Sam Wielki Książę czuł się pobitym; projekta jego ukarania senatu za łagodny wyrok, spełzły na niczem i sama rada administracyjna, nie pokazała się tak po-

B.U.L.

wolną jego natchnieniom, jak tego pragnął. Większa część ludzi, o których się spodziewał, że nigdy dnia słonecznego nie ujrzą, została wypuszczoną na wolność; okrucieństwa jego popelnione w więzieniach wyszły wszystkie na jaw i okazały się nieużytecznymi. Na pierwszą wieść że się zanosi na rewolucyą, rozkazał otoczyć szpiegami ludzi wyższych w narodzie wpływem i znaczeniem, głośnych z patryotyzmu i okazało się, że ci o niczem nie wiedzieli i nie myśleli o niczem; przyszedł zatem do przekonania, że te pogłoski były płonne, że to co się działo było bezowocnym wybrykiem akademickiej młodzieży, który sam z siebie uspokoić się musi. Ujście bezkarne dwóch wypadków, które lat temu kilka byłyby powodem wielkich nieszczęść rodzinnych, jak pobicie policyi na schodach świętokrzyskiego kościoła na pogrzebie Bielińskiego i nabożeństwo rocznicy rzezi praskiej obchodzone w małym kościółku na Pradze, oraz tryumfalne prawie potem wejście studentów do Warszawy przez most, na którym nie małego strachu doznał powszechnie znany kapitan żandarmeryi Jurgaszko, mocno zdziwiły policyą, która spuściła z tonu, według francuzkiego przysłowia: *«qu'on ne peut être plus royaliste que le roi lui-même.»* To opadnięcie termometru urzędniczej gorliwości i buty, najwidoczniejszem dla nas było na cenzurze, która dziennikarzom naszym jak Mochnackiemu, Chłędowskiemu i Żukowskiemu tłumaczyła się jak najpokorniej, kiedy coś wykreśliła, a pisarze nasi nie mało im powiększali strachu obiecując swoją protekcyę, gdyby rewolucya wybuchła, nie zaręczając jednakże za skutek, bo rozdrażnienie przeciwko nim opinii publicznej było bez granic. Najwyrachowańszym, najobrotniejszym i najdowiecipniejszym zarazem w pociechach tego rodzaju, bywał zawsze

Maurycy Mochnacki. Sam poważny Lelewel, w bibliotece publicznej uniwersytetu, pozwolił sobie żartu, który stał się głośnym w Warszawie; schylony nad jakąś kroniką poseł Żelechowski i głęboko w niej zatopiony podniósł nagle głowę i zawołał: « Panowie, wkrótce będzie rewolucya! » widząc że to zuchwalstwo w publicznem miejscu wszystkich obecnych nie po mału zwarzyło i że nikt mu nie odpowiedział, po chwili powtórzył raz drugi i trzeci te słowa, za każdą razą dając napowrót nurka w swoje foliały. Gdy mu ktoś zresztą zrobił cichą uwagę, że narazić się może na wielkie nieprzyjemności, odpowiedział głośno, że ma prawo o tem mówić, bo to powiedział publicznie radca stanu Szaniawski, pod którego najwyższą dyrekcyą jest cenzura w Polsce, to jest miara co można myśleć, pisać i mówić w całym kraju.

Niemąło miałem do czynienia aby podeprzeć zaufanie przyjaciół moich i to ludzi niedwóznaczej odwagi, jakimi byli obaj Zawiszowie lub Mokronowski Ignacy, zmarły na tułactwie w Hiszpanii, którzy na nieszczęście swoje przyszli do bezpośrednich stosunków z Maurycym Mochnackim, opierającym się mocno rozpoczęciu powstania z powodów, któreśmy już wymienili; przemogłem mimo tego te trudności z młodzieżą ognistą i śmiałą, rwącą się do czynu a lękającą się przedewszystkiem tego, aby poza innymi nie zostać i aby coś ważnego mogło zajść bez niej.

Rano w sam dzień powstania spotkałem Ludwika Żukowskiego, który rzekł do mnie w najwyższem oburzeniu: « pójdź! musimy złajać tego tchórza Ostrowskiego, bo bez tego zdawałoby mi się, że czegoś ważnego nie dopełniłem, zabierając się do tak ważnego dzieła i konieczną rzeczą jest dla mnie

pierwej ulżyć sercu i sumieniu mojemu. Czy wiesz czego on chce i co mówi? Powiada, że kiedy cywilni mają zaczynać, wojskowi powinni nam dać na piśmie, że nas nie zdradzą i nie zawiodą. « Śmiesznem bardzo wydało mi się to żądanie Ostrowskiego i cóż ono mogło znaczyć? ale naówczas do żartów żadnego nie miałem usposobienia. Ostrowski o jedenastej godzinie dawał lekye dzieciom jakiegoś senatora na Świętokrzyskiej ulicy i czekaliśmy w bramie na wyjście jego z domu; jakoż ukazał się nam około południa i Żukowski zaczął mu czynić wyrzuty w najostrzejszych wyrazach, które on przyjmował z wielką pokorą, przyznając się, że wcale nie ma odwagi wystawiać się na tak straszne niebezpieczeństwo, które po pierwszym uczynionym kroku żadnej już prawnej człowiekowi nie zostawia obrony, że w chwili stanowczej zabrakło mu serca, ale że on ma wielkie uwielbienie dla ludzi, którzy zdając sobie sprawę z tak groźnego położenia, mimo tego z całą rozważą i poświęceniem przystępują do dzieła. To zaufanie w artykuły prawa konstytucyi, to żądanie od wojskowych opisanie się w cedule, wydało mi się naówczas czemś tak oryginalnem, że zadziwienia mojego ukryć nie zdołałem. Po tylu latach ubiegłych, przy bliższem poznaniu naszych dziejów, staje mi to przed oczyma, jako jedna z najnieszcześniejszych naszych narodowych umysłowych chorób, które sam nie wiem, jak się pojawiać mogą w dalekich nawet pokoleniach, jak gdyby były już we krwi i aby się uwiecznić, nie potrzebowały nawet i tradycyjnego ciągu. Ostrowski wydał mi się jak niejeden szlachcic pieśniacz, wierzący w artykuły statutów a przedewszystkiem w rozpisanie się dokumentne i wyobrażający sobie, że manifest umieszczony w ziemstwie lub

grodzie przeciw rozbiorowi Polski, był gwoździem wbitym w mózg carowej Katarzyny, którego ona sobie ze łba niezem wybić nie może. Był to jakiś typ palestranta trybunału Piotrkowskiego lub Lubelskiego, szkoda tylko, że jak tamci nie był gotów w potrzebie dobyć szerpetyny i odwołać się do *ultima ratio*. Dla zcharakteryzowania ostatecznego tej dziwnej dla mnie natury, dodam tylko, że kiedy przyszedł wieczór i na ulicy odezwały się strzały a Ostrowski pragnąłby był schować się pod ziemię; czcigodna matka jego, kobieta w podeszłym już wieku, lecz męskiego usposobienia, którego nie dostawało synowi, wzięwszy go za plecy, wypchnęła na ulicę i drzwi zamknęła od bramy, mówiąc: « konspirowaleś z nimi, kiedy ci się zdawało że niebezpieczeństwo dalekie, dziś kiedy ci których podbudzałeś narażają swe życie i ty nie zostaniesz w domu; byłoby to niezmytą hańbą dla naszej poczciwej rodziny, ruszaj! »

Maurycy Mochnacki, który w domu swoim nie znalazł podobnej jak Ostrowski zachęty, bystrością swoją od razu zmierzył całe niebezpieczeństwo jakie go czekało, gdyby mimo rad jego i braku naprzód utworzonego rządu, powstanie się powiodło, do czego wszelkie było podobieństwo, nie chiał w ostatniej chwili, jak powiada, odstąpić przyjaciół swoich i złączył się z nimi, dla ruszenia ludu na starem mieście.

O godzinie czwartej pod wieczór zebrało się w mojem mieszkaniu kilkunastu z akademickiej młodzieży, między nimi byli ci co do końca dotrzymali placu: Edward Trzeciński, Aleksander Świętosławski, Walenty Krosnowski i Antoni Kosiński. Wszedł Nabelak i przedstawiony przezemnie dał nam polecenie udać się po dwóch, rozinaitemi dro-

gami, do lasku Łazienkowskiego; zażądał aby wszyscy byli na miejscu o zmierzchu i oświadczył zarazem, że tam karabiny i ostre ładunki rozdane nam będą; opowiedział nam przytem ogólne zarysy przyjętego planu. Po jego wyjściu rozeszliśmy się zaraz i wkrótce wszyscy bez wyjątku na naznaczonym znaleźliśmy się miejscu.

Nie mam potrzeby zastanawiać się nad całym planem powstania, byłoby to powtarzaniem tylko tego co skreślił sam Wysocki, lub eo z taką jasnością ogłosił w swojej historyi Maurycy Mochnacki, albo Goszczyński w swój nieocenionej *Belwederskiej Nocy*; innych nawet nie kładę szczegółów, prócz tych które widziałem naocznie, lub z pewnych ust słyszałem a które przez innych mniej dobitnie opowiedziane zostały.

Najcieńszą próbą postanowienia naszego było długie oczekiwanie w niewielkim łazienkowskim lasku, rozciągającym się ponad kanałem między mostem, na którym stał kolosalny posąg Sobieskiego a drogą, prowadzącą z góry do gmachu, w którym umieszczona była szkoła podchorążych. Zalecono nam rozsypać się, unikać wszelkiego zehodzenia się, rozmów i grupowania się razem, i ile możności trzymać się drzew i ukrywać się za niemi, co łatwo było dopełnić przez pierwsze pół godziny, ale kiedy oczekiwanie nasze przeciągać się zaczęło, niepodobieństwem było nie zbliżyć się do obok stojących i nie zasięgnąć ich rady i zdania. Od drzewa do drzewa przesuwając się, naliczyłem trzydzieści kilka osób, których twarze po większej części zupełnie były mi obce. Wkrótce rozeszła się wieść między nami, że któryś ze spiskowych dostał się do szkoły podchorążych, którzy w znacznej części byli porozbie-rani i że nie zdawało się wcale, aby o czemś mieli

zamyślać lub wiedzieli że ktoś mógł tak blisko niepokoić się i oczekiwać na nich. Wielu zaczęło się bez pytania wymykać ku miastu, czego i dostrzedz było nietatwo. Zdaleka dolatywał nas alarm gaszonego pożaru podłożonego na sygnał dla koszar Aleksandrowskich, zkąd ku miastu miał wyruszyć pułk gwardyi grenadyerów i kompanie wyborcze; obok nas prześliznęło się kilka białych postaci, były to posyłki kiryssyerskie w furazerkach tylko, które zobaczywszy jakichś podejrzanych ludzi szybko drapały, co nas przekonało o niebezpieczeństwie położenia naszego wzrastającym z każdą minutą, a mimo tego przeszła w tem oczekiwaniu, cała jeszcze śmiertelna godzina.

Wreszcie na drodze od szkoły podchorążych przeciągle a nie głośnie odezwało się gwiznięcie i odbyła się scena tak nagle i tak dramatyczna, z której w pamięci mojej każde na zawsze odbiło się słowo. Poskoczyłem ku drodze i zobaczyłem dwóch podchorążych za którymi żołnierze nieśli pęki karabinów, jak powiadają szkole moskiewskiej zabranych.

— «Wielu was jest? zapytał niższy wzrostem ze świeżo przybyłych.

— «Trzydziestu kilku, odpowiedziałem.

— «To i świat weźmiemy!

Lecz gdy się wszyscy zbliżyli do drogi, pokazało się, że nas było tylko szesnastu. Rozerwaliśmy broń, rozebrali ładunki nieledwie w zupełnem milczeniu, bo choć mała ta liczba zdziwiła nas, zaręczyć mogę, że chęć cofnięcia się nie przyszła nikomu na myśl. Kto się raz w życiu swojem znajdował w tak uroczystej chwili, ten mię zrozumie kiedy powiem, że ludzie wtedy czują się na wskroś i najdrobniejsze czyjeś zachwianie byłoby się natychmiast w sercach

nas wszystkich odbiło. W mgnieniu oka przeleciało mi pojęcie, że byliśmy ręką Boga przesiani jak w przetaku i kto był przeznaczony ten pozostał na miejscu. Ta liczba mała właśnie, dała wysoki duszom naszym nastrój, i pewne skupienie i jakąś niezwykłą przytomność umysłu zarazem; wśród ciemności tak późnego zimowego wieczora, jasno nam się w oczach nieledwo zrobiło, rozpoznawaliśmy twarze nasze i co się na twarzach z wnętrza odbijało naszego, i każdy wszystko widział co się koło niego działo.

— « Mały! a umiesz karabin nabijać? » rzekł Trzaskowski do mnie; był to podchorąży który się pierwszy odezwał, odgadując po sposobie jakim broń trzymałem, że ją po raz pierwszy w życiu miałem w mem ręku.

— « Nie, odpowiedziałem krótko.

— « Oto tak! rzekł dalej najspokojniej odgryzając ładunek i nabijając swój karabin; a teraz ty spróbuj! — Doskonale!

Na rozkaz jego, jak staliśmy tak podzieliliśmy się bez najmniejszego wahania się na dwa równe oddziały, grupując się mechanicznie, znajomi z więcej znajomymi, bez wiedzy nawet jakie będzie przeznaczenie tych oddziałów. Na czele jednego stanął Trzaskowski, podchorąży Kobylański na czele drugiego.

— « Czy prawda, zawołał Trzaskowski, zwracając się poraz ostatni do wszystkich, że nas za mało, abyśmy brali *kogo bądź* do niewoli?

— « Prawda! odpowiedzieliśmy stanowczo.

— « To ...! rzekł i zrobił ręką giest wymowny, jakby kogo przebiegał; teraz, na ramię broń i marsz!»

Oba oddziały miały jedno i to samo przeznaczenie zejść się w pałacu Belwederskim. Droga nawet

tego co szedł od ogrodu krótszą się wydawała. Byli w nim pod przewodnictwem podechorążego Kobyłańskiego: Poniński Stanisław świeżo dymissyonywany z gwardyi grenadyerów, Paszkiewicz Karol, Rotermund Edward, i prócz mnie przybyli zemną: Świętosławski Aleksander, Krosnowski Walenty, Trzeciński Edward, i Kosiński Antoni mający lat siedemnaście zaledwo. Od strony dziedzinca, pod przewodnictwem podechorążego Trzaskowskiego: Ludwik Nabelak, Seweryn Goszczyński, dwaj Rupniewscy Roch i Nikodem, Walenty Nasiorowski, Zenon Niemojewski, który w kampanii umarł z ran dostawszy się do niewoli, Ludwik Jankowski i Ludwik Orpiszewski.

Pierwszą przeszkodą na którą trafili ci co szli od ogrodu, był żołnierz moskiewski zastępujący nam drogę na małym mostku żelaznym i krzyżący «nie!zia!» Precz! zawołaliśmy, a kiedy się ustąpić nie chciał rozkrzyżowawszy ręce a parlamentować z nim nie mieliśmy czasu, pchnięty kilkoma bagnietami upadł pod most. Jęk jego przejął serce moje niewypowiedzianym żalem; była to pierwsza gwałtowna śmierć, którą w życiu mojem widziałem. Zwróciliśmy się potem nagle na prawo ku pałacowi. Kobyłański albo nie znał dobrze miejscowości, albo nie liczył na to, że niektóre przejścia w tak późnej godzinie zamknięte zostaną, zobaczył się wraz z nami nagle przed wysokim tarasem, na który wdrapać się było niepodobieństwem, i uniesiony gniewem strzelił do żołnierza stojącego w górze na warcie i powalił go o ziemię. Na ten strzał oddział napadający od frontu myśląc, że już bić się rozpoczęliśmy, przyśpieszył kroku i pędem wpadł na dziedziniec. Belweder był przedwcześnie zaalarmowany, i jakiś służący, który wybiegł przed pałac,

widząc zbrojnych ludzi, cofnął się drzwi zatrzasnąwszy za sobą. Nabelak wybił obok znajdujące się okno i wlał niem do wnętrza, rozwarły się i drzwi główne, dziewięciu ludzi przebiegło jak huragan pokoje, tłukąc i rozbijając wszystko po drodze i uderzając bagnietem każdego prawie co się nawinał. Dzięki niedoświadczeniu naszemu w użyciu bagnetu, więcej było rannych niż zabitych; daleko później, zostawszy żołnierzem, zdałem sobie sprawę z tego co jest ciężar karabina, który w niepewnem ręku niżej zawsze uderza, niżli mierzy oko. Ztąd tyle ran otrzymał wice prezydent Lubowidzki, a żadna z nich śmiertelną nie była; Lubowidzki przybył do Wielkiego Księcia z nieochybną wiadomością o mającej zajść rewolucyi, ale takie było słuźalstwo otaczających go osób i taka była bojaźń opryskliwości gwałtownej tyrana, że mimo zbliżającego się niebezpieczeństwa, nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności zbudzenia go ze snu, dopiero kiedy nie było ani jednej chwili do stracenia, kamerdyner porwał go z łóżka prawie rozebranego i więcej zniósł jak sprowadził tajemnemi schodami do pokoiów żony. Dwie minut później Konstanty byłby już nie żył; w sypialni jego bagnety rozburzały posłanie, na którem przed chwilą spoczywał.

Jednakże prawdziwe niebezpieczeństwo gotowało się dla naszych zbrojnych związkowych na dziedzińcu; lekko raniony bowiem generał Żandr, wymknął się z pałacu i biegł ku stajniom, aby ruszyć słuźbę tam będącą, kiedy to dostrzegł Seweryn Goszczyński, którego heroiczna przytomność umysłu czuwała nad wszystkim i puścił się za nim, a dopadłszy zwałił go bagnietem i dobił w oczach struchlałych stajennych, którzy z widłami i różnego gatunku bronią zabierali się przeciąć drogę powracającym z pustych

już pokoi. Jedno zachwianie się, jeden czyn niepewny, mógłby zgubić wszystkich. I nim się spostrzegli, już kilku z nich przebitych bagnietami leżało na ziemi; zdawało się tej służbie bez wodza, kilka razy liczniejszej od naszych, że co chwila nowi przybywają zbrojni, a widząc że tu i szlif jeneralskich nie szanują wcale, ogarnięci niepojętym popłochem, zatarasowali się sami w wozowniach i stajniach i wolny plac boju zostawili związkowym, którzy wiedzeni jakby jakimś duchem wieszczym, wybrali jedyną drogę, chociaż nie najkrótszą i nienajnaturalniejszą, gdzie ich nieochybna nie czekała zagłada i złączyli się ze szkołą podchorążych na moście Jana IIIgo.

Tymczasem zastęp idący od ogrodu u stóp tarasu zatrzymany, straciwszy zaufanie w przewodniku swoim, musiał się na wszystkie strony rozsypać, każdy bowiem zmuszony był na swoją rękę szukać przejścia z ogrodu do pałacu. Nie wiem czy kto i jak dostał się z naszych braci na dziedziniec Belwederu lub złączył się w drodze z wracającymi z pałacowych pokoi, co do mnie z nieodstępными towarzyszami moimi Świętosławskim, Trzecińskim i Kosińskim, mieliśmy sobie zastąpioną drogę przez ogrodników i ogrodników uzbrojonych w rydło, grabie i motyki, lecz ci widząc wymierzone do piersi swych bagnety, pospuszczali do ziemi narzędzia spokojnego swego rzemiosła, pozdejmowali czapki przed nami i stanęli rzędem, aby nas przepuścić.

Usłyszawszy grzmot ręcznej broni od strony koszar moskiewskiej kawalerii na Solcu, skierowaliśmy się ku tej stronie, sam już nie pamiętam jaką drogą, bo miejscowość ta i do dziś dnia nie jest jasną w mojej pamięci; i wkrótce ujrzelśmy na moście Jana III i na drodze cokolwiek wzniesio-

nej, która z obu stron do niego prowadziła błyszczące karabiny przy słabem świetle kilku latarni i usłyszeliśmy gwar wielki a wkrótce znaleźliśmy się wśród szkoły podchorążych, która tam się cofnęła po bezskutecznym ataku na koszary kawaleryi.

Wielka była nasza radość, ale wkrótce po raz pierwszy ogarnęła nas obawa, kiedyśmy zobaczyli panujący tam nieład. Szkoła była pod dowództwem dwóch poruczników z gwardyi grenadierów Wysockiego i Szlegla, który zginął na tułactwie w pojedynku. Nie wszyscy podchorążowie należeli do związku, ale wszyscy na dane hasło porwali się do broni bez najmniejszego wahania się i zapytań; i dla tego w tym pierwszym ich spoczynku, nie mogło się obyć bez objaśnień i pojedynczych opowiadań, zwłaszcza po powrocie naszych tak z pałacu jak i z ogrodu belwederskiego. Z naszej małej gromadki dwóch tylko nie dostawało: Ludwika Orpiszewskiego, rannego rydlem w twarz i ramię, któremu Sroczyński życie ocalił i którego musiano zostawić w ogrodzie botanicznym, gdzie przechowany został aż do zupełnego ustąpienia moskali z alei i Walentego Krosnowskiego, który zbłąkany, dostał się kompaniom wyborczym strzelców pieszych, mających atakować moskiewskie koszary od strony Solca a których w drodze zbałamucił generał Stanisław Potocki i zaprowadził pod rozkazy Wielkiego Księcia. Przy rozbrojonym natychmiast Krosnowskim, który patrząc na mundury myślał z razu, że ma do czynienia ze swoimi i nie lękał się niczego, znaleziono ostre ładunki i stawiono przed Roźnieckiego, który naówczas znajdował się o kilka kroków. Generał ten duszą oddany Moskwie, naczelnik policyi tajnej, chciał go kazać prowadzić natychmiast do Konstantego, ale zmiarkował się, że

Wielki Książę przestraszony, którego potrzeba było nieledwie wsadzać na konia bez przytomności, miał w tej chwili stanowczej co innego do roboty niż badać jeńców i kazał go tylko ściśle pilnować. Dni kilka Krosnowski zostawał w obozie moskiewskim a później poprowadzono go do Góry, zkąd puszczony był dopiero wraz z innymi zabranymi obywatelami w alejach, na Nowym Świecie lub na krakowskiem przedmieściu, skoro wojska carskie otrzymały pozwolenie swobodnego cofnięcia się za Bug.

Tymczasem gwar i nieład nie ustawały weale na moście Jana III; przyczynił się do tego niewielki zapas ładunków; my prócz nieroztropnego strzału Kobylańskiego, nie mieliśmy sposobności spalić ani jednego i dla tego zachowawszy sobie zaledwie po kilka, oddaliśmy z radością resztę podchorążym, jako celniejszym i wprawniejszym od nas strzelcom. Naprożno Wysocki zaklinał nas na Boga i miłość ojczyzny, abyśmy się uciszyli, ale przytomniejszy od niego Szlegiel, kazał uderzyć doboszowi w bęben i nazwyczajona do wojskowej karności młodzież, umilkła natychmiast i stanęła w porządku. Był to dla nas niewątpliwie szczęśliwy wypadek, bo ledwie ucichło bębnienie, usłyszeliśmy od strony Wisty tentent lecącej cwałem na nas kawaleryi; opuściliśmy natychmiast most, przeskoczyliśmy niską baryerę znajdującą się po obu stronach drogi i posypały się liczne strzały ku nadbiegającemu pułkowi rossyjskich ułanów; kilka koni bez jeźdźców przeleciało drogą koło nas, Moskale się cofnęli.

Po naradzie która się między dwoma dowódcami w kilku słowach odbyła, na komendę przeleźliśmy baryerę napowrót i biegnąc udaliśmy się w górę ku wiejskiej kawie i ujazdowskiemu koszarom. Skołatany

nie mało tak rozmaitemi wzruszeniami dnia całego, zbiegany, obarczony ciężkim karabinem, czułem, że upadam na siłach, że mimowolnie zacząłem w tym biegu zostawać za innymi, gdy nowy tentent za mną pędzącej kawaleryi dodał mi energii, piersiom oddechu a nogom sprężystości i ledwie stanąłem pod murem, który otaczał dziedziniec koszar ujazdowskich, gdy przeleciał koło nas o kilka kroków zaledwie szwadron kirysyerów, rzęsiстым przywitany ogniem. Cała konnica moskiewska zebrana była na szerokim placu przed nami; strzelanie do niej z okien koszar i z pod muru niedługo trwało. W ciemności nie mogłem dobrze rozeznąć co się z nią działo. Mówiono mi tylko, że się cofnęła w porządku i stanęła w oddaleniu.

Nie był to czas do udzielania sobie wrażeń, nadziei i obaw, ale każdy z nas czuł że się plan nie udał, że Wielki Książę uniknął śmierci i stał na czele całej swej kawaleryi, która jak sobie ułożono rozbrojoną nie była; ani kompanie wyboreze strzelców pieszych, ani obiecane działa Nieszokocia nie przyszły nam w pomoc. Stu osiemdziesięciu ludzi zaledwie, stało w obliczu kilkunastu szwadronów; co się działo w mieście, Bogu to nie nam było wiadomem; lada chwila mogliśmy być otoczeni, ale wszyscy postanowiliśmy zginąć pierwój, niż się dostać w ręce śmiertelnego naszego wroga. Chwilę się zachwiano co czynić, czy bronić się do upadłego w miejscu, czy przebojem rzucić się w miasto, nie wiedząc co i kogo spotkamy po drodze. Bóg natchnął dwóch naszych walecznych przewodników, że nam się zformować kazali w kolumnę i udać się ulicą przy wiejskiej kawie ku Nowemu Światu, gdzie znaleźliśmy wszystkie domy pozamykane najszczelniej. Na próżnośmy pukali kolbami

w bramy i okiennice przy okrzyku: «do broni! do broni! niech żyje Polska!» żywa dusza nie pokazywała się na ulicy. Najniebaczniejszy z nas wiedział to, że gdyby massa kawaleryi zostająca za nami, puściła się w miasto, zmieceni bylibyśmy jak huraganem wśród tej obojętności ziomków naszych, która padła nam na serce jak najcięższy kamień.

Jedyni ludzie jakicheckmy spotkali po drodze byli generałowie: Potocki, któregośmy wolno puścili, Trembicki wysadzony z powozu przy Towarzystwie przyjaciół nauk, a przed namiestnikowskim pałacem, Hauke wraz z pułkownikiem Męciszewskim, których opowiadanie śmierci byłoby zbyt cennem. Jeden tylko pułkownik Dytrych z kwaterymistrzostwa napotkany na Krakowskiem przedmieściu, oświadczył gotowość iść z nami, chociaż niewiele kto zdawał się zwracać na niego uwagę i zdaje się że jemu to winni jesteśmy, żeśmy wzięli tak długą drogę do arsenału, przez ulicę Kozią, Senatorską i Bielańską.

Odetchnęliśmy nieopisaną radością kiedyśmy pod arsenałem stanęli i zobaczyliśmy lud już uzbrojony. Było to już po odparciu pułku moskiewskiego gwardyi strzelców wołyńskich przez wojsko i po śmierci która tam spotkała generała Blumera. Warszawa nasza kochana nie zaparła się nas, ale ta Warszawa naówczas składała się ze starego miasta, z ulic Freta, Długiej, Miodowej, Leszna, Tłomackiego i placów pod bankiem i Krasińskiego.

Poprzestaję na tem, nie chcąc powtarzać rzeczy dokładnie znanych i opisanych już piórem Mochnackiego i Goszczyńskiego, z którymi współubiegać się nie mam zarozumiałości. Nie mogę jednakże nie dotknąć zapomnianej przez nich okoliczności i nie oddać czci pamięci porucznika artyleryi Haukego,

który po tak świeżej stracie własnego ojca zabitego przez powstanie, nie opuścił ani jednej chwili, aby stanąć najczynniej tejże samej nocy w obronie tegoż narodowego powstania.

---

Na początku Grudnia, w dni kilka po 29 Listopada, byliśmy zebrani wszyscy, którzy jakikolwiek udział mieli w związku, w mieszkaniu Adolfa Cichockiego, gdzie nam Piotr Wysocki odczytał to sprawozdanie któremu te spisane notatki służą za przedmowę. O ile sobie przypominam, redakcyja ta nieczyjś nie wywołała protestacyi i najprzód w *Kurjerze polskim* ogłoszoną została. Nie przestaje ona być jednym ze źródeł historycznych do dziejów tej epoki. Żywo mi to stało w pamięci, że już wtedy znaleźli się ludzie, którzy naganiali to odstonienie tajemnie sprzysiężenia, jako akt wielkiej nieostrożności, jakby przewidywali, że kiedyś komissyom śledczym moskiewskim za główny posłuży dokument. Mimo tego, że się sprawdziła ta złowroga przepowiednia, dziś jeszcze, gdyby się powtórzyły te wypadki, wbrew temu straszmemu doświadczeniu jakie nas spotkało, podobną oględność nazwałbym małodusznością i brakiem wiary, najwyższej i niezbędnej naówczas narodowej enoty. Kto się na tyle niebezpieczeństw narażał, kto widział w stanowczej chwili chybiony cały plan powstania, kto przeszedł większą część miasta wśród zatarasowanych domów, kto na drugi dzień poczuł stryczek na szyi, widząc proklamacyę na murach Warszawy w imieniu Mikołaja i podpisaną przez tak wielbione nazwiska jak Niemcewicza, Czartoryskiego

i Paca, ten nie mógł mieć tak zimnych i odległych obrachowań, kiedy zobaczył rozbudzony cały naród, przyjmujący rewolucyą z takim zapalem, z taką wdzięcznością i gotowością do wszelkich poświęceń. Przewidywać tryumf wroga natenczas, i myśleć o zaparciu się uczucia objawionego przez kraj cały, i o wyklamaniu się kiedyś z niego, nie mogło wtedy polskie i pocziwe serce. I w samej istocie, mąż który z tą otwartością stanął przed narodem, nie zaparł się charakteru swojego i w najnieszczęśliwszem położeniu jakie mogło spotkać cierpiącego za Ojczyznę Polaka, bo kiedy pomękach długiego moskiewskiego więzienia, skazanemu na śmierć podsuwano myśl, aby się udał do łaski carskiej, ten napisał te słowa: *« Nie dla tego broń podniósł, ażebym prosił cesarza o łaskę, ale dlatego, żeby jej mój naród nigdy nie potrzebował »*.

Wysocki w wojnie naszej o niepodległość doszedł do stopnia pułkownika i przy wzięciu Woli ciężko raniony został jeńcem moskiewskim. Największem staraniem mściwego wroga było, ofiarę swoją przedewszystkiem z ran wyleczyć, aby przedwczesną śmiercią jego zemsty nie uszła. Zrazu po wyzdrowieniu wywieziony został do Bobrujska a później dla męczącego trzechletniego śledztwa, sprowadzony był do Warszawy i skazany na śmierć. Mimo przytoczonej odpowiedzi na ofiarowaną mu łaskę carską, wyrok wykonany nie został; złagodzone go na ciężkie roboty w Aleksandrowsku pod Irkuckiem.

Szczegóły boleśnych jego przejść na Syberyi zawdzięczamy zajmującej książce o *Zabajkalskiej krainie* Agatona Gillera, który go jako współwynaniec w Akatui odwiedzał. Wysocki chcąc się

z tak srogiej uwolnić niedoli, ułożył z towarzyszami swoimi olbrzymi plan ucieczki przez środkową Azyę do Indyj wschodnich, który zpełził na niczembó po kilkudniach biedni nasi rodacy otoczeni obl i, wą, na nowo dostal się w ręce Moskali i Wysocki skazany na 1,000 kijów, przeniósł tę męczarnię okropną i przykuty do taczek przez dwa lata musiał z więzienia chodzić w Akatui do robót górniczych. Lecz jakiż barbarzyniec miałby serce wszystkie wyroki carskie z całą wykonywać ścisłością? i urząd górniczy miejscowy bez zniesienia się z wyższymi władzami, uwolnił go od ciężkich robót i dozwolił zamieszkać w Akatui. Wsyocki tam założył mydlarnię, oraz zajął się gospodarstwem rolnem i przy oszczędności, wielkim porządku, jeżeli nie do majątku, przyszedł do względnej zamożności, którą nieustająca praca mogła tylko utrzymać. Stał się ojcem i dobroczyńcą nietylko wygnańców ale i syberyjskich chłopów; kochany i szanowany przez wszystkich. Z dalekich stron zjeżdżali się do niego współtowarzysze niewoli, szczególnie dla obchodzenia pamiątki 29 Listopada.

W roku 1857, uwolniony przez cara Aleksandra II, z rozkazu rządu udać się musiał do Warki, rodzinnego swojego miasteczka, z kąd pod żadnym pozorem niewolno mu było się wychylać; starania jego o dostanie się za granicę były daremne.

W liście do przyjaciela pisze Wysocki, że skoro przybył do Warki, książę Gorczaków przysłał do niego jednego z wyższych oficerów żandarmeryi: « z poleceniem aby ten oznajmił mi, są jego słowa, iż mogę podać prośbę do cesarza o udzielenie mi dożywotniego funduszu na moje utrzymanie, a że podobna propozycja nie zgadzała się z mojem położeniem

a nawet i dotychczasowem postępowaniem, przeto  
wolałem podziękować, a sam zdać się na wolę Bo-  
ga i na łaskę moich rodaków ».

Wszędzie i we wszystkim, mimo najstraszniej-  
szych prób życia, widzimy to samo wielkie serce,  
które nigdzie, żadnym upadkiem ducha nie sponie-  
wierało charakteru patryoty i godności wodza dziel-  
nej młodzieży polskiej, która w listopadowem  
powstaniu złożyła w jego ręce nie tylko przyszłe  
swe losy ale i gotowość bez granic poświęcenia się  
dla ukochanej ojczyzny.

LEONARD RETTEL.



---

Paryż. — W drukarni Rouge, Dunon i Fresné,  
przy ulicy du Four, 43.

# TYLKO NA MIEJSCU

## 518140

## BIBLIOTEKI LUDOWEJ POLSKIEJ

KSIĘGI NARODU POLSKIEGO I PIELGRZYMSTWA  
POLSKIEGO, przez Adama Mickiewicza.

PAMIĘTNIK PÓŁKU JAZDY WOŁYŃSZEJ 1831  
roku, przez Karóla Różyckiego.

MOWA O NARODOWOŚCI POLAKÓW I POSŁANIE  
DO BRACI WYGNAŃCÓW, przez Kazimierza  
Brodzińskiego.

ARTYKUŁY PIELGRZYMA, Adama Mickiewi-  
cza.

Każde dzieło sprzedaje się osobno po 25  
centymów.

Odbito kilka exemplarzy na papierze wel-  
nowym z tytułem kolorowanym . . . 5 fr.

Księgarnia LUXEMBURGSKA ma wielki wy-  
bór książek polskich, różne wydania: Ziemi-  
skiego w Poznaniu, Wilda w Lwowie,  
Brockhansa w Lipsku, etc.

Również można nabyć w tej księgarni :

ŻYWILA, powiastka z dziejów Litewskich, przez  
Adama Mickiewicza, odszukana i wydana z  
Homaczeniem francuzkiem przez Władysła-  
wa Mickiewicza, ozdobiona ryciną, Paryż,  
in-16, jésua. . . . . 3 fr.  
Na papierze welinowym z tytułem koloro-  
wanym . . . . . 7 fr.

KONRAD WALLENROD I WIERSZE RÓŻNE, przez  
Adama Mickiewicza. Paryż, in-18 1 fr. 50.

W druk. Rouge braci, Paryż u. du Four-St. Germain, 43.